

# „ONDYNA”

Trudno powiedzieć, żebyśmy byli przekarmiani przez Teatr im. Jaracza, po „Żywym trupie” (bo rocznica tolstojowska, tak?) i „Krakowiakach i góralach” (któryż to już raz?) zaproszono nas na „Ondynę” Giraudoux, rzecz, powiedzmy od razu, cokolwiek zmurszałą.

Teatry tego miasta nie gustują, jak słyszę, w dziełach autorów awangardowych, Becketta czy Ionesco, czy Shechadé można oglądać na scenach Warszawy, Krakowa lub Gdańska, ale nie w Łodzi. Nie w Łodzi, byle nie w Łodzi, tu Beckett zrobiłby kłapę, na sztukach Ionesco sala świeciłaby pustkami, czyż nie tak? Stary, dobry argument, robotnikom ódzkich fabryk to się nie spodoba, to nie jest teatr dla mas, ta „Końcówka” jest tak pesymistyczna, ten „Nosorożec” cokolwiek dwuznaczny, te „Krzesia” po prostu niezrozumiałe. Stary, smutny argument, rzadko wypowiadany, choć często słyszalny w podtekstach. Nie warto i nie trzeba go przecież nadużywać, tu i tak mało kogo obchodzi, to, co się pisze i gra w Paryżu, o Witkacego upominają się tylko studenci (bo go grają), a Paryżem to my sami sobie jesteśmy.

Ten Giraudoux, którego możemy oglądać na scenie Teatru im. Jaracza, spodoba się oczywiście robotnikom,

niegdyś był to co prawda autor, powiedzmy, awangardowy, ale minęło 20 lat, zaledwie 20 lat, i niektóre teksty zjelczały cokolwiek, i teraz można je już proponować do strawienia widzwł masowemu. Ba, żeby te teksty choć zjelczały, żeby ów zapaszek, unoszący się, powiedzmy, wokół „Ondyny”, był zdecydowany, nawet jeśli miał być zdecydowanie odrażający. Znamy autorów, których teksty pachną zdecydowanie odrażająco, a przecież można ich grać. Byli to bowiem autorzy zdecydowani na wszystko. Giraudoux nie był zdecydowany, kusila go awangarda (to, co wtedy nazywano awangardą), ale lubił także tanie aforyzmy, dusza świała oddycha nozdrzami i skrzeciami, ale człowiekowi zachciało się mieć swoją własną i rozdrobnił w najgłupszy sposób duszę powszechną, powiada się w „Ondynie”, ten tekst pachnie tak samo jak pachniał przed 20 laty. Znamy ten zapach, to Chanel nr 5. Nie, to nie Chanel, to naftalina. Tak czy inaczej, zapaszek uroczy, coś dla masowego widza, tego, który nie strawiłby dziś — zdaniem niektórych ni Witkacego, ni Becketta.

Naprawdę, nie wiem, po to wystawiono „Ondynę”. Lato, do Bożego Narodzenia jeszcze daleko, Giraudoux zjeździe z afisza, i coś z Andersena i tak trzeba będzie zagrać. Nie doradzałbym zresztą pokazywania „Ondyny” dzieciom, ta bajka obliczona jest, mimo wszystko, na wytrzymałość dorosłych, dzieci wolaliby na pewno zobaczyć przyzwoicie wystawionego „Kopciuszka”. Ja także, w „Kopciuszku” wiadomo przynajmniej o co chodzi, dobro triumfuje nad złem, moral jest jasny i przeimujący, a los, owej



Alina Kulikówna (Ondyna) i Zbigniew Lobodziński (Hans)

Fot. Franciszek Myszkowski

dziewczynki, która zgięła pantofelek na balu, może się stać udziałem każdego. Los Ondyny nie wzruszy dziś nikogo, w miastach naszej cywilizacji nie spotyka się już rusalek, a stosunki między człowiekiem a naturą zostały dawno i definitywnie załatwione na niekorzyść tej ostatniej.

Jeśli, mimo wszystko, trzeba już było grać tego właśnie Francuza (ale nie trzeba było, bo między „Żywym trupem” a sztuką Kożusznika wolno grać cokolwiek i byle jak, na przykład Szekspira albo Labiche'a) to można było wystawić, powiedzmy, „Przyczynek do podróży Cooka”, to też jest perfuma, ale nieco ostrzejsza. I z nieco lepszymi rolami, bo w „Ondynie” nie ma —

wbrew pozorom — nawet ról, są tylko schematy, schemat rycerza, i zlej Berty, i dobrej królowej. Przekonała się o tym także i Alina Kulikówna (Ondyna). Chwilami naprawdę wzruszająca, brnęła z trudem przez pustę partię tekstu. Tę wysoce utalentowaną aktorkę chciałbym zobaczyć kiedyś w roli współczesnej dziewczyny. Albo w roli Kopciuszka. Bo w Ondynę, proszę mi wierzyć, nie można już tchnąć życia.

Teatr im. S. Jaracza. Jean Giraudoux. „Ondyna”. Przekład Henryka Roźnowskiego. Reż. Maryna Broniewska. Dekoracje: Józef Rachwałski. Kostiumy: Ewa Sobolowa. Muzyka: Tomasz Kiesewetter.

